



ARTUR GRUSZECKI
**POD CZERWONYM
 WIRCHEM**

19

Pani Wanda, która sobie przypominała treść komedii, rozumiała dobrze rozdrażnienie pani Mniewskiej, nazwanej kumoszką Wud i współczując z nią, powiedziała:

— Pan! Wud, w komedii, jest bardzo wesoła i dowcipna.

— Ta niech sobie będzie, jaka chce, — rzekła decydująco radczyni, — ale zawsze ona kumoszką i ja już dziękuję za taką przyjemność.

— I ja także, — powiedziała pani Mniewska, obrażona na panią Wandę za usprawiedliwianie żartu pana Jedlińskiego. Łatwo jej tak mówić, rozmyślała, gdy on ją nazwał „Julią“, ale inaczej sądziłaby, gdyby mówił o niej jako o „kumoszce“.

Główny winowajca, pan Jedliński, udawał, że nie słyszy tej rozmowy i spokojnie tłumaczył Madzi o jeździe na nartach.

Skończyła się kolacja i jak zwykle towarzystwo rozeszło się po salonie i gabinetach. Wspólność uczuć, nawet jasno nieokreślonych, stanowi prawie bezwiedny łącznik. Nic tedy dziwnego, że pani Mniewska i panie Poreckie usiadły w salonie obok siebie.

— Cóż pani taka milcząca? — spytała ze współczuciem pani Porecka, czuła bowiem zbliżającą się chwilę wynurzeń.

— Nic dziwnego, — odpowiedziała pani Mniewska, — pobyt w zakładzie stał się od pewnego czasu nie tylko nudny, ale nieprzyjemny.

— Podzielam zdanie pani i gdyby nie wzgląd na zdrowie Madzi, byłabym już wyjechała. Wkradły się jakieś kwasy, jakieś niewłaściwe zwroty i słowa, coś, co musi razić osoby, nawykłe do towarzystwa.

— To, mamusiu, dysharmonia, że tak nazwę, — odezwiała się Madzia, — przecież jeden ton fałszywy może zmać całą melodię.

— Jak ty mądrze to określiłaś! — zachwyciła się matka, — nieprawdaż, kochana pani, — zwróciła się do pani Mniewskiej, — brak harmonii, otóż i cały powód zepsucia nastroju przyjemnego, który obowiązkowo powinien być w zakładzie.

— Sądzę, że nie jeden ton, — uśmiechnęła się ironicznie pani Mniewska, — ale jest ich co najmniej trzy, a może i więcej nawet.

— O tak!... Już to każdy przyzna, że o ile Podole, Galicya, Poznańskie, a nawet Litwa, posiadają pewien fakt, o tyle Królestwo nie umie, że tak powiem, utrzymać miary.

— O! Pani jest bardzo delikatna w określaniu, — zaśmiała się pani Mniewska, — ja nazwałabym to inaczej. Tam, w Królestwie, ostatnia rewolucja rozluźniła wszystkie węzły.

— Powiedziałabym nie tylko węzły, ale i węzły... na dobre wychowanie, na fakt właściwy... na obecność młodych panien... Czy zauważyła pani, jak wyzywająco zachowywała się w cukierni? Jak rzuciła oczyma? Jak uśmiechała się?

— I dwa razy rzuciła chustkę na ziemię, — dorzuciła Madzia, — ażeby ją podnosił pan Jedliński.

— No, nie dlatego rzuciła, — zaśmiała się Mniewska, — ażeby podnosił, lecz dla swych obcisłych bucików.

— Czyż to możliwe? — zdziwiła się Madzia.

— Moje dziecko, ty nie rozumiesz się jeszcze na przebiegłości i kokieteryi, — uśmiechnęła się

matka, — tyś niewinna, ale bywają takie kobiety, bywają.

— Przecież i ja ją znam, — zawołała wesoło Madzia, — to pani Jerzycka. Ona ma właściwy sobie wdzięk, który podoba się mężczyznom.

— Niechże Bóg broni, ażebyś ty starała się o taki wdzięk... i jakie to niewinne dziecko, ona wdziękiem to nazywa.

— My, panno Madziu, ten wdzięk inaczej nazywamy, — zaśmiała się pani Mniewska, — to jest wyrafinowana kokieterya, która może zwozić mężczyzn, ale nie nas.

Madzia uznała za stosowne i w dobrym tonie stanąć w obronie nieobecnej i rzekła z uśmiechem niedowierzającym:

— Pani zbyt surowa dla pani Jerzyckiej. Zdaje mi się, że u niej nie jest to kokieterya, lecz zwykła chęć podobania się. Prawda, że może czasem zadaleko posuwa tę chęć, ale cóż dziwnego? Ona młoda, lubi zabawę, mąż zostawił ją samą...

— Jaka ta Madzia szlachetna, — zachwyciła się matka, — nawet nie chce pamiętać tego, że to właśnie ona nie chciała, ażeby mąż z nią był tutaj. Zapragnęła zupełnej swobody, chce się bawić bez kontroli męża i bałamucić mężczyzn.

— Istotnie zapominałam, mamusiu, że pan Jerzycki chciał zostać... ale znając jej usposobienie, może przecież odwiedzić żonę, ostrzedz ją.

— To do nas nie należy, — westchnęła, — w każdym razie nie świadczy to o harmonii małżeńskie.

Pani Mniewska słuchała tej rozmowy, rozbawiona, z uśmiechem ironicznym: miała przecież w ręku dowód, czego pani Jerzycka wymaga od męża. Zawahała się tylko na chwilę, czy godzi się korzystać z depezy zapomnianej na pocztę, lecz przemogła w niej chęć olśnienia pań Poreckich zdobytą wiadomością. Zaczęła cichym, współczującym głosem:

— Pan Jerzycki posiada całą moją sympatię, to mąż bardzo dobry i kochający.

— Daruję, kochana pani, — uśmiechnęła się z wyrozumiałością pani Porecka, — ale sądę, że w słowach pani za wiele jest pobłażliwości dla niego. Kochający mąż nie zostawia żony samej przez kilka miesięcy. Prawda, że pisuje do niej prawie co tydzień, ale co znaczy list, chociażby najczulszy?

— Ja winię tylko pana Jerzyckiego, — poparła Madzia matkę, — i z jego to winy pani Jerzycka narażona jest na umizgi niewłaściwe.

— Jakże panie są dobre! — zaśmiała się pani Mniewska, — ale bronicie sprawy przegranej... Ja mam dowód w ręku, że pan Jerzycki gorąco pragnie przyjechać tutaj i odwiedzić żonę, a ona się sprzeciwia.

Oczy obydwu słuchających pań zabłyśły, podobna przyjemność rzadko się przytrafia w zakładzie: jest dowód obwiniający osobę nie miłą i dumną; jest fakt, który pachnie małym skandalem; jest tajemnica, która została zbadana i odsłonięta. Nic tedy dziwnego, że wiadomość ta wzbudziła gorączkową ciekawość i pani Mniewska, widząc wrażenie, miała prawo uśmiechać się tryumfująco.

— Gdyby nie to, że pani droga, znana ze swego taktu i prawdomówności, mówi coś podobnego, nie uwierzyłabym nigdy, — powiedziała tonem szczerzej przyjaźni pani Porecka; — to

prawie nie do wiary, ażeby młoda mężatka, mająca tak miłego i przystojnego męża, odrzucała jego miłość i zabraniała mu przyjazdu do siebie.

— I ja zostaję niedowierzającym Tomaszem, — uśmiechnęła się Madzia, — i póki nie obaczę na własne oczy, zawsze będę broniła pani Jerzyckiej.

— Szkoda rycerskich zapędów pani, — zaśmiała się pani Mniewska, — wiem bardzo dobrze, że dziś pani Jerzycka telegrafowała do męża: „Nie przyjeżdżaj, czekaj listu“, — sięgnęła do torebki i błysnęła blankietem telegraficznym.

— Pozwoli pani, — wyciągnęła Madzia rękę po papier.

— Zaraz, tylko wpierw opowiem historię znalezienia depezy... Otóż dziś przed wieczorem pojechałam na pocztę rzucić list ważny i nadać depezę.

— Sama pani była na pocztę?

— Sama. Tutejszej służbie nie można dowierzać... Raz dałam list pilny do nadania i z daty recepty dowiedziałam się, że u portyera przeleżał on dwa dni, a list był bardzo ważny. Siostra mego męża czekała z wyjazdem na mój list, czy ma tu przyjechać, czy też do Włoch, bo ma synka chorego.

— Cóż mu brakuje?

— Upadł na ślizgawce tak nieszczęśliwie, że zranił się tuż nad skronią, i teraz ból głowy powraca każdego dnia o pewnej godzinie.

— A ile on ma lat? Jak się nazywa?

— Jerzy, a ma dwunasty rok. I niech pani sobie wyobrazi, że to jedynak, jaka rozpacz rodziców. Teraz jednak pisze mi siostra, że mu lepiej... Ale o czym to ja mówiłam? — namyślała się pani.

— Pani oddawała list na pocztę, — podpowiedziała Madzia.

— Ach, tak, już wiem... Otóż wchodzę na pocztę i spotykam wychodzącą panią Jerzycką. Przywitałam się, nadałam swój list, i wzięłam blankiet na napisanie depezy... idę do pulpitu, patrzę, a tu leży niewysłana depeza... i od niechcenia rzuciłam okiem... Zdziwił mnie adres: Jerzycki, postańcem do Zawrotni. W pierwszej chwili sądziłam, że ona zapomniła wysłać, spytałam urzędnika, czy pani Jerzycka wysłała depezę? Odpowiedział, że przed chwilą nadała. Domyśliłam się, że zepsuła blankiet i że mam kopię depezy przed sobą, — umilkła, patrząc na zasłuchane panie.

— I co było w depezy? — spytała niecierpliwie pani Porecka.

— W depezy? — rozwinęła z wolna niebieskawy blankiet i przeczytała: „Nie przyjeżdżaj, czekaj listu, Wanda“.

Przez chwilę trwało milczenie, mogące oznaczać zarówno zdziwienie, jak i oburzenie, wreszcie pani Porecka z miną surową i nieprzejednaną wzięła papier z rąk pani Mniewskiej, odczytała i bez słowa podała Madzi. Dopiero, gdy ta przeczytała, zaczęła smutnym, zgnębionym głosem:

— To najprzykrejsze, że czegoś podobnego dopuszcza się kobieta z naszej sfery i naszego stanu. Jak możemy teraz wymagać, ażeby inne kobiety prowadziły się wzorowo i przykładnie?

— I jaka to dysharmonia, — westchnęła Madzia żałośnie, — pomiędzy jej stanowiskiem a pro-